

HELMUT RIDDER  
Giessen

**UWAGI NA TEMAT ZADAŃ I „SAMOOKREŚLENIA”  
TOWARZYSTWA NIEMIECKO-POLSKIEGO RFN  
NA POCZĄTKU LAT OSIEMDZIESIĄTYCH \***

I

Towarzystwo Niemiecko-Polskie, nieco tylko młodsze od obydwu współczesnych państw niemieckich — Republiki Federalnej Niemiec i Niemieckiej Republiki Demokratycznej — w płaszczyźnie swego stanowiska i zadań nie przeszło nigdy zmian, które byłyby tak radykalne, że przekształciłyby zasadniczo charakter naszej organizacji albo byłyby zapowiedzią tego typu przeobrażeń. Zawsze tak było i jest, że Towarzystwo Niemiecko-Polskie Republiki Federalnej Niemiec, również pod jego wcześniejszą nazwą, począwszy od Towarzystwa im. Helmuta von Gerlacha, we wszystkich fazach zmieniającego się układu politycznego naszego kraju wracało do tej historycznej daty, której 40-lecie przypadło 1 września 1979 r. Jest to data militarnej napaści — niemożliwej do usprawiedliwienia z żadnego punktu widzenia prawa międzynarodowego — ówczesnej Rzeszy Niemieckiej na kraj polskiego sąsiada, w którym naród polski dwadzieścia lat wcześniej po raz pierwszy po przeszło stu-letnim okresie odzyskał — trudną i pełną problemów — własną egzystencję państwową. Gdyby było inaczej, nasze Towarzystwo straciłoby swoją tożsamość. Poprzez analityczne wyjaśnienia staraliśmy się zawsze w naszej pracy określić ten akt przemocy, związany ze strasznymi następstwami najpierw dla Polski, a następnie dla całego świata. Musieliśmy przy tym rozprawiać się stale zarówno ze świadomym fałszowaniem historii, jak również — w dłuższym okresie prawdopodobnie jeszcze bardziej niebezpieczną, chociaż często nie wynikającą wcale ze złych intencji — rzekomo ahistoryczną egzystencją najszerzych warstw ludności naszego własnego kraju. Musieliśmy wyjaśniać, że tamtego dnia 1 września 1939 r. wyładował się potężny i wrogi cywilizacji potencjał, czerpiący swą siłę z wielu źródeł, nie tylko młodszej nazistowsko-faszystowskiej proweniencji.

Z tego powiązania naszej pracy z konkretną, potworną datą historyczną wynikały jej ściśle związki z niezmiennym europejskim

\* Referat wygłoszony na Walnym Zebraniu Towarzystwa Niemiecko-Polskiego Republiki Federalnej Niemiec, odbytym we Frankfurcie n. Menem w dniu 3 listopada 1979 r.

stanem rzeczy, tj. z geograficznym sąsiedztwem Polaków i Niemców w centrum kontynentu. Sąsiedztwo to wykazuje od 30 lat dodatkowe komplikacje przez ciągle jeszcze nie unormowaną koegzystencję dwóch państw niemieckich o zasadniczo różnych systemach politycznych i społecznych oraz także przez to, że wyrok historii za dzień 1 września 1939 r., który zapadł 8 maja 1945 r., często nie został zrozumiany lub jest odrzucany.

Jeśli z okazji tej 40 rocznicy wydaliśmy odezwę zatytułowaną *Nigdy więcej wojny — Nigdy więcej Oświęcimia — Przyjaźń z Polską* i słowa te stanowią motto naszego tegorocznego Walnego Zebrania, to wskazujemy w ten sposób na stałą, specyficzną identyfikację naszego Towarzystwa z samym sobą. Kolejna rocznica września 1939 r. nic tu nie zmienia, lecz pomaga wyostrzać i popularyzować świadomość tego, co konieczne, oraz budzić i poruszać sumienie. Stąd w tym roku nasze hasło, w którym każde z jego trzech części jest jednocześnie ostrzeżeniem, wyznaniem i obietnicą.

## II

Jeśli nasza praca, w ten sposób inspirowana i moralnie wyposażona, nie ma zdegenerować się do praktycznej — choćby nawet monumentalnej — powszedniości, to musimy nieustannie starać się uchwycić — tak dokładnie, jak to będzie możliwe — zmieniające się realne warunki naszego działania. Z tych zmian realiów wynika zmiana poszczególnych zadań, jakie postawiło sobie Towarzystwo. Do tych zmian musi się także dostosować ten termin, który w tytule moich rozważań starałem się wyrazić problematycznym i dlatego ujętym w cudzysłów słowem „samookreślenie”. Pojęcie to ma ponadto znaczenie dla sformułowania naszego stosunku do innych organizacji, partii politycznych i czynników państwowych oraz do naszych polskich przyjaciół i rozmówców. (Wracając jeszcze na krótko do słowa „samookreślenie”: jak wiadomo, szukając tego pojęcia można łatwo stać się ofiarą urojeń, jeśli tej śmiałej operacji dokonuje się tylko z samym sobą, a nie wyrwie się innych z ich własnej „nieskończonej świadomości”). Jeśli dążąc do uzyskania rozpoznania, które mogłoby wzmocnić aktualny zakres naszego oddziaływania, spojrzymy wstecz i następnie trochę ponad współczesny stan w przyszłość, to możemy bardzo wyraźnie wyróżnić trzy fazy rozwoju, którym nasza organizacja towarzyszyła lub towarzyszyć będzie swoimi inicjatywami.

Pierwsza faza, pod wieloma względami czarna i również najczarniejsza w historii naszego Towarzystwa, obejmuje czas od utworzenia Republiki Federalnej Niemiec aż do ratyfikacji układu zawartego między Republiką Federalną Niemiec a Polską Rzeczpospolitą Ludową dnia 7 gru-

dnia 1970 r. Jeśli kanclerz federalny Adenauer w swoim oświadczeniu w *Bundestagu* w dniu 21 października 1949 r., dotyczącym wschodniej granicy „Niemiec”, określił „oświadczenia strefy radzieckiej jako niewiążące dla narodu niemieckiego”, myśląc o odrzucanych w RFN tendencjach rozwojowych, które doprowadziły potem do Układu Zgorzeleckiego między NRD i Polską, to w jego memorandum do prezydenta USA Eisenhowera z dnia 29 maja 1953 r., a więc w szczytowym okresie „zimnej wojny”, odmówiono każdemu niemieckiemu rządowi — a więc nawet rządowi uważającemu się za rząd wyimaginowanego państwa ogólnoniemieckiego — pełnomocnictwa uznania linii Odry—Nysy jako granicy. Powoływano się przy tym na „prawo naturalne”. („Prawo naturalne” może być w naszym europejskim stuleciu — tzn. po uznaniu ukształtowania prawa przez demokratyczną ustawę i międzynarodowoprawny układ — tylko epigonalnym maskowaniem wyznawania bezprawnej samowoli). Każdy z obu następców Adenauera, Erhard i Kiesinger, umacniał ten najbardziej kruchy zamek na lodzie, w którym same tylko życzenia przeżywane są jako prawna i pod każdym innym względem istniejąca rzeczywistość. Fikcja ta przetrwała aż do lat sześćdziesiątych, uznając ciągle, że wyłącznie rząd ogólnoniemiecki jest kompetentny w sprawach granicy, które należy uregulować w „traktacie pokojowym”. Dopiero pod rządami socjaldemokratyczno-liberalnymi wprowadzono w stadium praktyki to, co zapowiadał Willy Brandt, będąc w 1968 r. wicekanclerzem i ministrem spraw zagranicznych w rządzie wielkiej koalicji i co na zjeździe *SPD* w Norymberdze w pewnym sensie stanowiło zapowiedź przyszłej polityki RFN wobec Polski. Było sygnałem polityki, która po podpisaniu układu dnia 7 grudnia 1970 r. i po jego bardzo późnej ratyfikacji w maju 1972 r. w RFN związanej z zaciekłymi walkami, a w Polsce dokonanej z nadzwyczajnym nakładem, osiągnęła przełom, którego nie można już cofnąć.

W tym miejscu pozwolę sobie na — miejmy nadzieję właściwie zrozumianą — uwagę, która dotyczy stosunku naszego Towarzystwa do jego własnej przeszłości, a więc do nas samych: co zostało osiągnięte w fazie pierwszej, wcale nie jest tym najwyższym stopniem normalizacji, do którego należy dążyć, nie jest nawet jako tako wystarczającą dawką normalizacji. Chodzi tutaj wprawdzie tylko o fragmentaryczną realizację, ale zmierzającą bez ogródek w kierunku, który my od początku — wprawie jako samotnicy wołający na pustyni — uważaliśmy za jedyną właściwą drogę. Układ z 7 grudnia 1970 r., chociaż nie odnosi się wyraźnie do Układu Zgorzeleckiego zawartego pomiędzy NRD a Polską nie jest w końcu niczym innym jak światowym uprawomocnieniem

tego układu, który dotychczas poza „blokiem wschodnim” w pewnym sensie nie był „konwertowy”.

Jeśli więc tym samym konkretny rozwój potwierdził rację i uznał starania tych, którzy wtedy pozostawali w osamotnieniu, to tym bardziej mylnie jest oczekiwanie od naszego Towarzystwa, że zarazi się grasującymi jeszcze bakteriami nerwicy odgraniczania i profilowania, które nieprzypadkowo właśnie w tym okresie stały się zaraźliwe, kiedy oficjalna polityka wschodnia została udowodniona jako sprzeczna z procesem normalizacji. Ustawa Zasadnicza, na której gruncie stoi nasze Towarzystwo, różni się od konstytucji, na której gruncie stoją ci, którzy — właśnie w sprawach dotyczących Polski — ogarnięci zostali panicznym strachem przed naszymi wzajemnymi kontaktami, łamiąc sobie głowę z powodu rzekomej — wrogiej konstytucji — infiltracji naszego Towarzystwa, podobnie jak nowa polityka wschodnia rządu socjaldemokratyczno-liberalnego różni się od starej polityki wschodniej prowadzonej wówczas przez rząd Republiki Federalnej Niemiec. Nasza Ustawa Zasadnicza jest tą rzeczywiście obowiązującą demokratyczną konstytucją naszego kraju, podczas gdy tamta rzekoma ustawa zasadnicza nie jest niczym innym jak urojoną projekcją w najwyższym stopniu niedemokratycznego marzenia, nie przyjmującego do wiadomości, że wyobrażenia dominującej ideologii przez to nie mogą stać się konstytucją, że jedna ze stron przyznaje im w sporze politycznym monopol na demokrację. Nie chodzi więc tutaj o samo w sobie już wystarczająco trudne pytanie dotyczące stosunku do zbiorowej moralności uważającej, że ma przed sobą Murzyna, którego można kopniakiem wyrzucić po tym, kiedy zrobił swoje, lecz chodzi tutaj o zasadnicze pytanie demokratycznej egzystencji, na które, jeśli się błędnie odpowie, to nieuchronnie zagrozi się temu, co powinno się popierać albo przynajmniej twierdzi się, że się popiera. Jest dowodem historycznej ślepoty i niemałego chaosu w myśleniu, jeśli się twierdzi, że przy pomocy takich samych technik dyskryminacyjnych i trywialnych metod, które — jak można udowodnić — stały na drodze do przełomu odmitologizowanej polityki wschodniej, temu właśnie przełomowi, który i tak już późno nastąpił, można zabezpieczyć trwałość i dalszy rozwój.

Wróć jeszcze do tego, a teraz chciałbym się zająć — stosownie i bez iluzji — problemem, który mimo swojej niezwyklej ważności był, niestety, bardzo zaniedbany, tj. problemem nośności politycznych podstaw konstrukcyjnych ratyfikacji układu PRL—RFN po stronie Republiki Federalnej Niemiec. Jest oczywiste, że dzięki głosom za układem i dzięki wstrzymaniu się od głosu, tj. za sprawą przeważającej większości w

*Bundestagu*, nie można już negować kompetencji Republiki Federalnej Niemiec do zawarcia z Polską układu dotyczącego zasadniczego problemu granicznego; wstrzymanie się od głosu posłów CDU/CSU w każdym razie nie oznaczało stanowiska negatywnego. Ten wielki krok naprzód zamykający fazę pierwszą również później nie był podawany w wątpliwość. Pewien polityk bawarski, który już w przeszłości wielostronnie i w sposób godny uwagi ukazywał się opinii publicznej, a który obecnie jako „kandydat na kanclerza” wywołuje — daleko poza granicami naszego kraju — ogólne zainteresowanie zabarwione obawami i troskami, nie mógł układowi z 7 grudnia 1970 r. odmówić ważności zdania *pacta sunt servanda*. Wszystko to należy bez zastrzeżeń powitać. Historia ratyfikacji dowiodła również, że zarówno ze strony głosów na „tak”, jak i ze strony wstrzymujących się, ta kompetencja RFN pomyślana jest — że tak powiem — jako kompetencja konkurencyjna, obok której koniecznie ma istnieć nadal kompetencja wymagowanego państwa ogólnoniemieckiego, przy czym — znajdujemy się teraz w sferze magii — dozwolone jest istnienie wielu spekulacji na temat: jak, kiedy, w jakich warunkach i przez co — jeśli to możliwe, to w ciągu jednej nocy — ta ostatnia kompetencja mogłaby się urzeczywistnić. Wynika to ze wspólnej rezolucji z 17 maja 1972 r. wszystkich partii reprezentowanych w *Bundestagu*, zgodnie z którą również wraz z układem PRL—RFN problem granicy powinien mieć zastrzeżenie „o uregulowaniu w traktacie pokojowym z Niemcami”.

O motywach, znaczeniu i następstwach tej rezolucji należy tu też wspomnieć, przy czym trzeba oddzielić problemy prawne od politycznych. Pan kolega Jerzy Sułek z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych poczynił w wydanej właśnie w zachodnioniemiecko-polskiej koprodukcji książce *Republika Federalna Niemiec — Polska Rzeczpospolita Ludowa. Bilans stosunków wzajemnych. Problemy i perspektywy normalizacji* tę pod względem politycznym skromną uwagę, że dla zmiany postawy dużej części członków CDU/CSU od totalnego odrzucenia do wstrzymania się od głosu (= milcząca zgoda na ratyfikację) rezolucja ta odegrała „pewną rolę”. *With due respect*: Nie zdradzę żadnej tajemnicy, jeśli powiem, że być może rola rezolucji w tym związku była decydująca; może to dotyczyć nie tylko wstrzymania od głosu, lecz również niektórych głosów aprobujących. Jest zupełnie jasne, że głosowanie nad ustawą ratyfikacyjną i uchwalenie wspólnej rezolucji utworzyły operatywną całość, „pakiet” — jak to się mówi w żargonie politycznym. Nastąpiło to pod naciskiem niepokojącej hipotetycznej alternatywy (można być bardzo różnego zdania o jej zawartości realnej), mianowicie ewentualnego uchwalenia ustawy ratyfikacyjnej nieznaną większością głosów przy prawie tak samo dużym bloku głosów na „nie”.

Poprzez wspólną rezolucję „kupiono” stanowiska na „nie” opozycji w *Bundestagu*, potwierdzone wstrzymaniem się od głosu, pozostawiając na boku czynnik niepewności, powiązany retrospektywną kalkulacją z alternatywnymi zjawiskami, które nie nastąpiły. I tak jak to się w końcu często zdarza z nagłymi transakcjami tego typu: przypuszczalnie nie oceniono właściwie konieczności transakcji, a z całą pewnością nie oceniono właściwie wysokości kosztów transakcji.

Obecny spór w *Bundestagu*, *Bundesratie* i w Komisji Mediacyjnej o definicję pojęcia *Inland* w związku z nowelizacją ustawy o podatku obrotowym powoduje, że problemy te stają się coraz bardziej widoczne. Jest samo przez się zrozumiałe, że nasze ponadpartyjne Towarzystwo jako naprawdę znająca się na rzeczy i zorganizowana część opinii publicznej w sprawach polskich i dotyczących zachodnioniemiecko-polskiego procesu normalizacji, w tym sporze, podobnie jak i w każdym pojedynczym przypadku z tej dziedziny, zajmuje konkretną, tzn. w tym sporze „partyjną”, postawę. Witamy starania obecnego rządu federalnego i wszystkich go popierających sił ze sceny parlamentarnej i politycznej, zmierzające do uwolnienia się z sidła wspólnej rezolucji *Bundestagu*. Możemy te starania popierać w ten sposób, że wobec opinii publicznej napiętnujemy i zdemaskujemy ten zakrojony na szeroką skalę pseudo-prawniczy bluff z rezolucją jako fałszywą grę, prowadzoną w celu zamrożenia procesu normalizacji. Jeśli więc w pracy *Forschungsinstitut für internationale Politik und Sicherheit* fundacji *Stiftung Wissenschaft und Politik* można napisać o „rozwoju Polski w europejskim procesie odprężenia lat siedemdziesiątych” następujące słowa: „Żądanie rewizji orzecznictwa Federalnego Trybunału Konstytucyjnego przekracza wszelkie realne granice i wymaga od partnera rzeczy niemożliwych” (s. 112), wykazuje to, jak głęboko przekonanie o tym, że sprawiedliwość może materializować urojenia, zapadło również w sposób myślenia naukowców. Dlatego uznaliśmy za niezbędne opublikowanie zamówionej przez nas trzeźwej, prawniczej ekspertyzy kolegi Lecha Janickiego z Instytutu Zachodniego — należy on do grona polskich gości, których dzisiaj serdecznie witamy — która w sposób zrozumiała również dla tzw. laika przedstawia główne punkty prawniczej argumentacji o nieodzownych konsekwencjach wynikających z układu PRL—RFN dla wewnętrznego systemu prawnego RFN.

W tym miejscu chciałbym z wielką radością powiadomić, że wkrótce zostanie zawarta umowa o przyszłej, ściślejszej współpracy między naszym Towarzystwem a wspomnianym wyżej Instytutem Zachodnim w Poznaniu, który wywodzi się — realizując nierozdzielność polityki i nauki — z polskiego ruchu oporu przeciwko hitlerowskiej okupacji i nawią-

zującego w żywy sposób również w swojej dzisiejszej formalnej strukturze do tych początków.

W twardej politycznej dyskusji upadają często już na początku najbardziej elementarne żądania wynikające z postulatu logicznego braku sprzeciwów. Tak więc w czasie debaty w *Bundestagu*, dotyczącej nowej wersji ustawy o podatku obrotowym, poseł Friedrich Vogel (*CDU*), według artykułu 38 konstytucji przedstawiciel całego narodu, podporządkowany tylko własnemu sumieniu i nie związany żadnymi poleceniami i instrukcjami, obwieszcza — zaklinając się na świętość układów — następujący zdumiewający pogląd:

„Układy z Moskwą i Warszawą (układy wschodnie) mają wysoce polityczny charakter; regulują one ogólne polityczne stosunki Republiki Federalnej Niemiec ze Związkiem Radzieckim i z Polską. Przez (!) to układy te nie uzasadniają żadnych konkretnych prawnych zobowiązań działania i postępowania Republiki Federalnej Niemiec”.

Tego typu monstrualne wypowiedzenie wszystkich podstaw prawa międzynarodowego *urbi et orbi* niszczy całkowicie wobec wszystkich 150 państw skupionych w Organizacji Narodów Zjednoczonych wiarogodność naszego kraju w zakresie polityki zagranicznej. Wiarogodności tej nie uratuje się również w ten sposób, że wychodzi się jej naprzeciw z nową uspokajającą i odraczającą formułą kompromisową, tak jak zdaje się to wynikać z obrad Komisji Mediacyjnej, które powinny być kontynuowane w dniu 8 listopada 1979 r. Na uśmierzeniu strasznego nierozsądku stracić może tylko rozsądek. Można często jeszcze próbować zwlekać z jasnym i jednoznacznym wyznaniem naszego porządku prawnego dotyczącym tego, co zgodnie z układem PRL—RFN powinno być *Inland* a co *Ausland*, decyzji tej wszakże nie można uniknąć i im później się ją powźmie, tym większe będą koszty.

Do podstawowych norm prawa międzynarodowego należy, że układy międzynarodowoprawne, które w sposób ważny doszły do skutku, ani nie są „ograniczone” przez prawo wewnętrzne państw, ani nie należy ich „interpretować” według jego miary (pominawszy już zupełnie fakt, że rezolucja *Bundestagu* jest także tylko politycznym oświadczeniem i w żadnym przypadku nie jest ustawą i dalej pominawszy ten fakt, że ta wspólna rezolucja opiera się na — potwierdzonej przez błędny wyrok Federalnego Trybunału Konstytucyjnego — mylnej interpretacji Ustawy Zasadniczej). Gazeta wydawana we Frankfurcie, która od tygodni — stosując zupełnie niezwykle publicystyczny ogień huraganowy — próbuje wbić swoim czytelnikom do głowy tezę o „subordynacji” układu PRL—RFN w stosunku do błędnie interpretowanej Ustawy Zasadniczej, mogła tylko dlatego tak obniżyć kryterium mądrości swoich

czytelników, ponieważ gęsta mgła okrywająca insularne marzenia prawnicze przewyciężonej już w tym względzie polityki pierwszej fazy jeszcze się nie przerzedziła. My uważamy za nasze zadanie likwidowanie implikowanych przez to trudności w ten sposób, że je stale nazywamy po imieniu, opisujemy i uświadamiamy opinii publicznej. To jest jednocześnie przykład głęboko narodowego wypełniania obowiązków obywatelskich, ponieważ przyczynia się do pozbawienia polityki zagranicznej naszego kraju przekleństwa śmieszności, która w tym względzie wśród wszystkich naszych zachodnich sąsiadów tylko dlatego nie wywołuje homerycznych salw śmiechu, raczej przytłumiony uśmiech zasłonięty ręką, ponieważ my — jak głosi zarozumiałe głupi i niebezpieczny slogan — „znowu jesteśmy kimś”. Gdyby zresztą wspomniany już „kandydat na kanclerza” opanował tak niezmiernie pożyteczną — tylko, niestety, o wiele za mało rozpowszechnioną — sztukę czytania, zacząłby coś rozumieć z lektury orzeczeń, które w czasie procesu w sprawie układu podstawowego RFN z NRD zostały roztropnie przedłożone przez rząd bawarski Federalnemu Trybunałowi Konstytucyjnemu. Prof. dr Wilhelm Wengler, którego zastrzeżenia wobec przyjęcia układu podstawowego (jak zresztą układów wschodnich) były rodzaju politycznego i konstytucyjnoprawnego, przedstawił w sposób wyrazisty i niezbity, że układ międzynarodowoprawy nie może być interpretowany według prawa państwowego jednego z partnerów układu.

### III

Jestem w moim omówieniu już w środku drugiej fazy. Ta faza obejmuje okres od ratyfikacji układu PRL—RFN do dziś, do końca lat siedemdziesiątych. Charakteryzuje się ona tym, jak widzieliśmy, że w czasie jej trwania znaczna część naszych celów — pod różnymi naciskami i z jakich by nie było powodów — została osiągnięta i jest rzeczywistością. Faza ta charakteryzuje się dalej tym, że potężna przesłona ideologiczna właśnie tego nie chce przyznać, a skrępowaną tym administrację ogarniają gwałtowne bóle i znaczny duchowy zamęt, jeśli ma przyznać, że jej polityka — w tej określonej dziedzinie — zrywa z wcześniejszą polityką w tej samej dziedzinie, zamiast ją kontynuować. Naukowa analiza tych nadzwyczajnie długowiecznych formacji ideologicznych, dominujących w długim okresie, jest naturalnie łatwiejsza niż zmiana świadomości w codziennej politycznej praktyce. Nie można przytoczyć żadnych argumentów przeciwko krótkiemu i prostemu stwierdzeniu naukowej analizy, że wraz z zanikiem substancji przedmiotu kontrowersji, wrogości, ta ostatnia nie ma żadnej racjonalnej racji bytu. Mimo tego ściera się ideologia, a jeszcze bardziej świadomość codzienna,

nie bez złości, a raczej z oburzeniem, z rozterką nowej przeszkody, która teraz będzie tylko immanentna, mianowicie perturbacje istniejące wyłącznie w świadomości tych, którzy którzy czują się pokrzywdzeni.

To odpowiada tej specyficznej sytuacji, która powstaje wtedy i przez to, gdy osoby biorące udział w politycznym systemie kierowania patrząc na całkowicie różną wcześniejszą praktykę próbują złapać się za głowę z jeszcze nie wystarczającą trafnością. Obawiają się, że zostaną nadzy i bezbronni, jeśli zrezygnują z przebrania — a tym właśnie jest wspólna rezolucja *Bundestagu*, jak również inne urojenia o istnieniu nadal państwa ogólnoniemieckiego — nie rozumiejąc przy tym, że alternatywą maskarady z przebraniem jest nie nagość, lecz u branie, nie tuszujące rzeczywistości i nie zniekształcające jej. Jak długo pod wpływem światopoglądu, dojrzałego do wyrzucenia na złom, nie widzi się świata, lecz wymarzone obrazy i uważa się je za oglądany świat, to z polityką rzeczywistą nie tylko pozostaje się poza politycznym nawiasem, lecz jest się również immanentnie wrażliwym i traci się siły na pokonywanie „problemów”, które nie są problemami. Nie stanowi np. problemu, jeśli teza, że słońce na wschodzie wschodzi, a na zachodzie zachodzi jest potwierdzana nie tylko przez niekomunistów, „dobrych” (np. chińskich) komunistów, jakiś „znośnych” (np. jugosłowiańskich) komunistów, lecz również przez „złych” (np. zachodnio- i wschodnioniemieckich) komunistów (jakie jest miejsce polskich komunistów w tym schemacie?). Świat, który zrozumiałwszy to załamuje się, jest pozornym światem poglądów dojrzałych do tego, aby je usunąć.

Wroga postępowi i poznaniu ideologia, według starego niemieckiego zwyczaju umocniona jeszcze prawniczo, wyprodukuje — jak wszędzie — również w dziedzinie naszej pracy na rzecz normalizacji stosunków niemiecko-polskich, zapewne jeszcze cały szereg dalszych absurdalnych problemów pozornych (nawet gdy w zaczynającej się obecnie fazie trzeciej, którą zaraz bliżej scharakteryzuję, wydajność tej ideologii zmniejszy się). Wymienię tutaj, jako najnowszy przykład, prawniczo udrapowane trudności stawiane partnerstwu miast (Norymberga — Kraków, Getynga — Toruń i in.), które na szczęście doszły do skutku w ciągu ostatnich dwóch lat. Należy do częściowo także na mocy wyroków sądowych scementowanej ideologicznej spuścizny pierwszej czarnej fazy fakt, że gminom, które przecież według federalnych ordynacji gminnych nie są tylko samymi jednostkami administracyjnymi, lecz demokratycznie zorganizowanymi, a także społecznymi elementami budowy całej wspólnoty — tak samo jak np. uniwersytety, organizacje studenckie, związki zawodowe, izby rzemieślnicze, nawet kościoły — nie przysługuje polityczna wolność poglądów i swoboda działania (ogólnie — nie mają „politycznego mandatu”). (Partie polityczne mogą się jeszcze wyjątkowo ura-

tować, jeśli będą się zachowywały grzecznie i porządnie jako organy państwowo integrujące.) We „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (nr 213 z dnia 13 IX 1979, str. 9) dochodzi kolega Blumenwitz — opierając się na tej głęboko zakorzonej pomyłce — dla którego preambuły układów partnerskich powołujące się na układ PRL—RFN są szczególną solą w oku, do następującego trywialnego, historycznego dowcipu; cytuję dosłownie: „Pierwszy głęboki sens partnerstwa miast, mianowicie — bezpośrednia, spontaniczna akcja obywateli w sensie porozumienia narodów” jest „zagrożona i politycznie perwersyjna”, jeśli partnerstwa miast wciągnięte zostają do „urzędowej polityki rządowej”, przez co insynuuje się „oficjalnej polityce rządowej” — pozostaje kwestią otwartą, czy po stronie Republiki Federalnej, czy po obu stronach — oczywiście coś przeciwnego „pierwotnemu, głębokiemu sensowi partnerstwa miast”. Jeśli wywołuje to usprawiedliwiony rumieniec wstydu i gniewu, to musiałby ten wielokrotnie zaklinany „krytyczny racjonalizm” gorszyć się generalnym konceptem, który służy za podstawę tych wypowiedzi. Według tego podstawowego konceptu, „polityczna” strona procesu normalizacji stosunków między dwoma krajami należy do wyłącznej kompetencji rządów państwowych. One uosabiają „ogół”, różniący się zupełnie od ogółu, który składa się z ludu udzielającego się w organizacjach społecznych wszystkich rodzajów, łącznie z gminami. Ale czym jest „państwo”, co z niego zostaje, jeśli się wyłączy ten lud? Co ten aparat ze swoim monopolem w dziedzinie polityki miałby wspólnego z demokracją?

*Rady miejskie nie powinny prowadzić polityki zagranicznej* — brzmi tytuł artykułu. Tego nie ma w konstytucji RFN. W Ustawie Zasadniczej są naturalnie uregulowane określone kompetencje dla ważnych czynów prawnych w dziedzinie polityki zagranicznej, np. zawieranie układów międzypaństwowych, ale „robienie” polityki — na wewnątrz i na zewnątrz — jest w nieokaleczonej demokracji czymś, co zgodnie — pamiętajmy — z dobrym, burżuazyjnym rozumieniem demokracji stale jest prawnie przekazywane całemu ludowi jako wolność, a z moralnego punktu widzenia nawet jest obowiązkiem.

Według łatwego tutaj do rozpoznania konceptu podstawowego, demontującego i parcelującego demokrację, ideałem byłoby towarzystwo niemiecko-polskie, które merytorycznie ograniczałoby swoją działalność do wąskich, odpolitycznionych sektorów. Tego typu asocjacje są z pewnością dopuszczalne. I nawet towarzystwo, które ograniczyłoby się do podtrzymywania kontaktów z polskimi filatelistami, czy towarzystwo, które postulowałoby organizowanie wycieczek na łono natury ze wspólnym niemiecko-polskim zbieraniem okazów botanicznych, i towarzystwo, które za główne swoje zadanie postawiłoby organizowanie turystyki no-

stalicznej, nie byłyby pozbawione dalekosiężnego sensu społecznego. Nie chciałbym naturalnie tymi wyjaskrawionymi przykładami ośmieszać jakiegokolwiek z tych celów. Nikt z nas nie ma prawa drwić z uczuć, poruszających starszego człowieka, który przed śmiercią chciałby zobaczyć kraj, miejscowość i krajobraz, które musiał opuścić w najwyższym stopniu niedobrowolnie i w każdych innych warunkach niż w pokrzepiających. Ale właśnie ostatni przykład wykazuje, jak ambiwaletna i — być może — niebezpieczna także dla procesu porozumienia może być koncentracja zachodniemieckich towarzystw niemiecko-polskich na rzekomo niepolitycznych zamierzeniach. Muszę o tym wspomnieć, ponieważ niewątpliwie ten tutaj krytykowany koncept podstawowy wpływa również na głębokie rozbieżności zdań, które utrudniają lub wręcz uniemożliwiają naszą współpracę z kilkoma towarzystwami niemiecko-polskimi, powstałymi w ostatnim czasie. Członkowie naszego Towarzystwa, którzy przybyli dzisiaj na Walne Zebranie, a więc na zebranie członków jako głównego organu naszego demokratycznie ukształtowanego związku, mają prawo być poinformowani w pełnym zakresie również o tym. Spełnię w następnych zdaniach ten obowiązek informacji oraz związany z tym obowiązek poczynienia kilku wyjaśnień. Przy czym nie będę się już więcej rozprawiał ze — wspomnianą tu już krótko — niedorzecznością tezy o infiltracji. Dodam jeszcze tylko to: współpraca obywateli, którzy udzielają się legalnie w demokratycznej organizacji zgodnie z ich politycznym przekonaniem nie jest „infiltracją” i nie sprawia, że organizacja ta jest „wroga konstytucji”. Gdyby było inaczej, to Republika Bawarska, która do dzisiaj bądź co bądź nikogo, z powodu legalnej aktywności politycznej nie wykluczyła ze wspólnoty suwerennego narodu, uwidaczniającej się w prawie głosowania, a której skarb państwa bez różnicy przyjmuje publiczne podatki od wszystkich swoich obywateli, musiałaby być kwalifikowana jako organizacja „infiltrowana” i „wroga konstytucji”. Nie mogę tutaj głębiej analizować sprzeczności deprymującej urzędowej praktyki, pospiesznie zużywającej polityczno-moralny kredyt naszego państwa, która wbrew jednoznacznemu nakazowi konstytucji wysyła obywateli, z powodu legalnej działalności politycznej, na częściowe wewnętrzne wygnanie — Madagaskar nie stoi również teraz do dyspozycji jako miejsce przyjęcia.

Nasze Towarzystwo nie jest żadną organizacją nadrzędną, lecz związkiem polegającym głównie na indywidualnym członkostwie i współpracy poszczególnych osób, którego członkowie rekrutują się z całego obszaru Republiki Federalnej. Inne towarzystwa niemiecko-polskie, na bazie lokalnej czy regionalnej, z własną osobowością prawną, są po części zbiorowymi członkami naszego Towarzystwa. Fakt ten cieszy nas, ponieważ ułatwia to niezmiernie współpracę na rzecz jednego

wspólnego celu. W pewnych innych ugrupowaniach lokalne albo regionalne „towarzystwo” jest niczym innym jak każdorazowym zespoleniem członków właśnie naszego Towarzystwa, którzy stawiają sobie w danych ramach szczególne zadania. Również i z tych form działania nie powstały żadne trudności dla niemiecko-polskiego porozumienia, a wręcz przeciwnie. Podstawowe trudności, o których należy tu mówić, istnieją raczej na płaszczyźnie naszego stosunku do niektórych północnoniemieckich towarzystw, których członkowie w większości nie są członkami naszego Towarzystwa, a towarzystwa te nie są zbiorowymi członkami naszego Towarzystwa. Chciałbym wyjaśnić, że trudności te nie pochodzą z braku identyfikacji członkowskiej wśród nas. Nie prowadzimy, oczywiście, w stosunku do tych towarzystw żadnej polityki ekspansji albo — po tym, jak to złowieszcze słowo już raz zostało wymienione — „infiltracji”. Respektujemy zagwarantowaną przez prawo podstawowe wolność wszystkich społecznych zjednoczeń z legalnym celem i cieszymy się tym bardziej, gdy inne towarzystwa, w węższym lub szerszym zakresie, przyswajają sobie nasze statutowe założenia. Dlatego jesteśmy żywotnie zainteresowani współpracą z tymi towarzystwami, przy czym możliwe są najróżnorodniejsze formy tego współdziałania, które w pełnym zakresie mogą się liczyć w poszczególnych punktach z każdorazowym, indywidualnym zorientowaniem innego towarzystwa. Ale nikt nie jest zmuszany do takiej współpracy. W przeszłości odbywały się okazyjne zebrania przedstawicieli wszystkich niemiecko-polskich towarzystw Republiki Federalnej, których plon w sprawach dotyczących współpracy zapewne nie był ani treściowo, ani czasowo specjalnie ważki. Mimo to, podtrzymujemy bezterminowo naszą ofertę dalszej współpracy.

Tymczasem z całą stanowczością opowiadamy się przeciwko — obok nie bardzo bohaterskiego i uczciwego udziału w dokonywającej się z bardziej lub mniej głośnymi plotkami kampanii zmierzającej do pozbawienia pracy naszego Towarzystwa minimalnego demokratycznego standardu, z którego nie wolno zrezygnować — oczekiwaniom, często nie w pełni świadomie żywionym, że cofniemy nasze roszczenia dotyczące działalności pod względem treściowym obejmującej całokształt stosunków zachodnoniemiecko-polskich. Rościmy sobie przy tym pretensję do podstawowego prawa wolności poglądów, prasy i informacji oraz domagamy się posiadania pełnej wolności do zdawania sprawozdania i komentowania wszystkiego, co w tym zakresie ma znaczenie; do tego należy również sprawozdanie z działalności tamtych towarzystw. Dlatego odmówiłem ostatnio przyjęcia — jako nie dającej się pogodzić z zadaniami naszego Towarzystwa i z chronionej podstawowymi prawami, z których nie wolno zrezygnować, wolnością działania naszego Towarzystwa — skierowanej do nas petycji pełnomocnika wspólnoty towarzystw północno-

niemieckich, abyśmy nie referowali działalności tych towarzystw. Pozostawiam bez odpowiedzi pytanie, czy członkowie tych północnoniemieckich towarzystw rzeczywiście dzielą wyrażone obawy, że przez naszą praktykę publicystyczną mogłoby powstać wrażenie, jako bylibyśmy organizacją zwierzchnią wszystkich towarzystw niemiecko-polskich, jak również to pytanie, czy ci członkowie rzeczywiście w tym stopniu są ogarnięci fobią przed kontaktami z naszym Towarzystwem, jak to zostało wyrażone w tym dziwnym żądaniu. Sprawę tę wspomniane organizacje muszą załatwić we własnym zakresie. Ja mogę tylko wyrazić głębokie ubolewanie z powodu tych sprzeczek, na które trwoni się siły, potrzebne obu stronom w ich statutowej pracy. Nowy zarząd, który należy wybrać na dzisiejszym zebraniu, powinien — z zastrzeżeniem odmiennego mandatu udzielonego mu ze strony zebrania członków — kontynuować starania w celu doprowadzenia do rozmów finalnych, które położyłyby definitywny kres wszystkim tym nieprzyjemnym sprawom.

#### IV

Pozwólcie mi Państwo na koniec podjąć próbę nakreślenia perspektyw trzeciej fazy, której kontury stopniowo stają się coraz bardziej rozpoznawalne.

Wspomniałem już o kilku fenomenach, które wskazują na to, że w świadomości publicznej staje się coraz bardziej wątła gęsta i gruba ideologiczna osłona zgody, jaka wytworzyła się od połowy lat pięćdziesiątych i chroniła system polityczny Republiki Federalnej przed kryzysami uprawnień legitymacyjnych. Do tego należy także nadwyreżenie zaufania do Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, który przecież swoim wyrokiem dotyczącym układu podstawowego pomiędzy RFN a NRD próbował wbić kołek, którego mogłyby się trzymać przez następne tysiąc lat wymaginowane Super-Niemcy — jeśli możliwe, to w granicach, wykraczających poza stan z 31 grudnia 1937 r. Werbalizowany dotychczas jako „pluralizm” blok zgodny kierownictw urządzonych organizacji państwa i społeczeństwo wykazuje rysy. Jeśli dotychczas — jak wyraziłem to z braku czasu skrótowo — najbardziej wyraźnym procesem w publicystycznej, zewnętrznej stronie systemu była rywalizacja między obrońcami „wolności” i wysuwającymi żądania jeszcze więcej „wolności”, podczas gdy na stronie wewnętrznej pod wpływem szczególnego wyobrażenia o „demokracji-poufnej” wysłuchiwało anonimowo, demoskopijnie i niewiążąco opinii społecznej o istotnych problemach politycznych, to teraz wmiatana długo pod dywan społeczna konfliktowość znowu otrzymała szansę, aby być wniesioną, bez zasłon i przeszkód, do otwartego demokratycznego procesu przez nacisk solidarności autorytatywnego

pluralizmu. Najwyraźniej uwidacznia te głębokie zmiany fakt, że „kandydat na kanclerza” rzucił się do ucieczki i wypowiedział członkostwo w uprawnionym legitymacyjnie bloku ugody, którego popełnienie bardzo trafnie uznał. Z hasła „wolność albo socjalizm” rozwinięto i skonstatowano — z pewnego punktu widzenia całkiem konsekwentnie, nawet jeśli to zrobili ludzie, którzy nie mają wyobrażenia o tych pojęciach — za co „socjalizm” jest odpowiedzialny. „Socjalizm” nie jest już teraz tylko w pewnym abstrakcyjnym sensie „niewolą”, lecz — poza tym jak skończy się ideologiczna rywalizacja za każdym razem o więcej „wolności” — zupełnie konkretnie wszystkim tym, czego chcą rywale stający się powoli, ale nieuchronnie prawdziwymi przeciwnikami, których założenia także stają się niepewne, oraz którzy — i to będzie ukoronowaniem tego wszystkiego — ponadto w jakiś sposób zostają odrzuceni jako ideowi potomkowie nazizmu. A jeśli się temu nie wierzy, to musi pomóc nasz dziennik z Frankfurtu małym oszustwem statystycznym, które ma wykazać, jak lewicowe masy wyborcze Republiki Weimarskiej już przed 1933 r. milionami przeszły do nazistów\*.

To wszystko jest z jednej strony wprawdzie niewymownie prymitywne, z drugiej strony stawia jednak siły socjaldemokratyczne w korzystniejszej sytuacji, polegającej na tym, że nie muszą się strzec przed przyłapaniem na socjalliberalnych czynach, ponieważ w tym świetle wszystko, co one robią i tak już jest „socjalistyczne”. Nasze Towarzystwo nie będzie mogło w tym zaczynającym się teraz procesie polaryzacji trwać na wyizolowanej wyspie samowystarczalnej błogości, lecz będzie musiało stale być świadome związanych z tym procesem rosnących niebezpieczeństw dla porozumienia zachodnioniemiecko-polskiego i dla pokoju światowego oraz mieć więcej i większych szans do jasnych, konkretnych, zdolnych do honorowania i brzemiennej stabilizacyjnie oświadczeń. Wszystko to sprawia, że jeszcze bardziej rozszerzyć musimy tematycznie zakres naszej pracy. Tak więc np. będziemy musieli uwzględnić we wzrastającym stopniu także kompleks zbrojeń, grozący obydwu krajom w podobny sposób. Dwa państwa, które z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością stałyby się w Europie polem bitwy „ograniczonej wojny atomowej”, muszą mieć żywotny interes w rozwijaniu zapobiegającego tej katastrofie współdziałania, które udzieli sa-

\* Artykuł Friedricha K. Fromme (*Ein Stoiber, Staub aufwirbelnd*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” nr 243 z 18 X 1979, s. 11) stanowi dowód tego tworzenia legendy o antynazistowskiej odporności burżuazji i nazistowskich skłonnościach byłych lewicowych mas robotniczych, opierając się na fałszywych danych drubnych wyborów do *Reichstagu* w 1932 r. (KPD: 6%); dowód ten upada przy uwzględnieniu właściwych danych (16,9%).

mobójezemu infantylizmowi strategów należnej im odprawy. Przypomnijmy sobie realistyczno-wizjonerską siłę, którą zawierał „plan” nazwany imieniem i nazwiskiem Adama Rapackiego.

## V

Nie mogę również pominąć faktu, że właśnie w tej zaczynającej się teraz fazie należy znacznie podwyższyć wymagania, jakie musimy postawić naszym polskim partnerom.

Nasze Towarzystwo jest i pozostanie „organizacją społeczną”, która straciłaby swoją tożsamość, gdyby pozwoliła się zintegrować w sposób państwowy albo partyjno-polityczny. Znaczenie działalności politycznej „organizacji społecznych”, tych *non-governmental organizations*, we wzrastającym stopniu docenia się na forum połączonych państw Organizacji Narodów Zjednoczonych. (Należy to szczególnie podkreślić, ponieważ w środkach masowego przekazu RFN co najwyżej można się dowiedzieć — oprócz wiadomości, że UNICEF sprzedaje w jakimś dobrym celu ładne kartki świąteczne — czego Narody Zjednoczone i ich organizacje wyspecjalizowane nie zrobiły oraz co zrobiły — w rzeczywistości lub nie — źle). Poprzez to przewartościowanie działalności „organizacji społecznych” wyraża się pogląd, że za państwami i rządami, które utrzymują stosunki międzypaństwowe w ramach określonych prawem, stoją przecież narody, od których pomyślnego współżycia i współdziałania zależy ich własny los oraz los innych narodów. Tylko sprzymierzona lub indywidualna naukowa i polityczna praca sił społecznych jest w stanie nadać wiedzy o drugim narodzie i zrozumieniu jego historii tę głębię i wykończenie, które mogą zagwarantować trwałość procesu normalizacji.

W licznych rozmowach z naszymi polskimi partnerami mogliśmy, ku naszej wielkiej radości, stwierdzić, że jesteśmy świadomi tej konieczności zawierającej gotowość zrozumienia — z punktu widzenia narodu, którego historia cierpień uniemożliwiła każdą pokusę europejskiego imperializmu XIX wieku — niemieckiej współczesności zmagającej się z dziedzictwem tego właśnie imperializmu i naciskiem faszystowskiej przeszłości. Dlatego też bardzo żałujemy, że w zachodniemieckich środkach masowego przekazu zawsze pod cienką warstwą obiektywnego sprawozdania o wewnętrznym, społecznym rozwoju w Polsce, iniekuje się czytelnikowi zbyt szybko i niemal obowiązkowo silną dawkę proszku uzyskanego z ziela korzenia dysydenckiego. Jeśli już wizyta papieża w Polsce nie ruszyła, oczekiwanej w wielu miejscach, lawiny wstrząsającej systemem, to obecnie musi się — z memorandum pt. *Raport o sta-*

nie Rzeczypospolitej i o drogach jej naprawy, nawet gdy nic więcej z tego nie wychodzi niż bezplodne samozadowolenie — oplakiwać anachroniczną misję wyzwolenczą z czasów „zimnej wojny”.

Przeżyliśmy również po polskiej stronie, co należy powiedzieć z całą otwartością, kilka rozczarowań, które nie powinny się powtórzyć. Tak więc ja osobiście nie mogę ukryć zdziwienia z powodu oświadczenia prasowego Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce wydanego w związku z uchwałą *Bundestagu* z dnia 3 lipca 1979 r. o przedawnieniu zbrodni morderstwa. Ustawa z 3 lipca, której nigdy nie da się unieważnić, jest — niestety — znowu klinicznym wręcz przypadkiem formuły kompromisu, zatajającego prawdę historyczną. Jeśli ten kompromis w jednym czy drugim przypadku umożliwi ściganie nowo odkrytych zbrodni nazistowskich — „odpokutować” za te zbrodnie nie można — to jednak jego generalna teza przedawnienia dla zbrodni morderstwa, nie uwzględniająca specyfiki tych zbrodni, ciężko zaszkodziła pałaco koniecznemu nadrobieniu tego kompleksu. Nie był więc ten kompromis, jak uważa wspomniane wyżej polskie oświadczenie prasowe, „częściowym rozwiązaniem”, lecz był wyparciem rozwiązania i nie był, jak dalej uważa polskie oświadczenie, „nie w pełni konsekwentny”, ale właśnie konsekwentny w toku tej ogólnej polityki wypierania, zainteresowanej w podtrzymywaniu trwałego snu niemieckiego sumienia. Jeśli oświadczenie prasowe oczekuje od tego kompromisu przyczynienia się do „konsekwentnego rozliczenia się z faszystowską przeszłością w RFN”, to znaczy, że również ono stało się ofiarą iluzji, której dalekosiężne konsekwencje długo jeszcze będą odczuwalne. My wobec tego liczymy na rozwój, w którym siły społeczne obydwu krajów zyskają znaczenie i okażą się skuteczne, także jako środek zaradczy wobec wszystkich pokus do dyplomatycznego i państwowo-politycznego, efemerycznego *ap-peasement*. Owoce takiej pracy dojrzewają powoli, ale potrafią przetrwać. W tym przekonaniu chcemy naszą pracę kontynuować.

Z niemieckiego przetłumaczył Jacek Murkowski